

Krzysztof Pomian

Paryż–Warszawa

Lech – wspomnienie o przyjacielu

Nasza znajomość zaczęła się jeszcze w czasach szkolnych, choć Lech chodził do Górskiego, a ja – do Trzeciego Liceum TPD na Wiktorskiej, na Mokotowie. Był starszy o rok i o klasę wyżej. Przerwa w kontaktach nastąpiła, gdy Lech poszedł na Uniwersytet i trwała podczas studiów: on był na polonistyce, ja na filozofii, a nie były to lata, gdy studenci różnych wydziałów spotykali się łatwo. Zaczęliśmy się widywać regularnie i często po zrobieniu przeze mnie magisterium i wycofaniu się z działalności w ruchu młodzieżowym w następstwie zamknięcia „Po Prostu”. On bywał u mnie, po moim ślubie z Grażyną – u nas; ja bywałem w jego mieszkaniu na Wspólnej czy Hożej, już nie pamiętam. Po jego ślubie z Halinką Kiepuską odwiedzaliśmy ich, moja żona i ja, wpierw przy placu Zbawiciela, później przy Platynowej, a oni często bywali w naszym domu. Ostatnia przeprowadzka, na Inflancką, odbyła się już po naszym wyjeździe do Francji.

Lech był jednym z moich najbliższych przyjaciół, przy czym łączyła nas nie tylko ta dziwna alchemia, która sprawia, że dwie osoby lubią przebywać w swoim towarzystwie, mają do siebie pełne zaufanie i mają sobie zawsze coś do powiedzenia, choć są skądinąd pod wieloma względami bardzo różne. Ja włożyłem za sobą moje zaangażowanie polityczne i członkostwo w PZPR. Lech był bezpartyjny, co czyniło z niego w PRL, jak z innych bezpartyjnych, obywatela drugiej kategorii. Nie miało to żadnego wpływu na nasze stosunki; rozmawialiśmy o wszystkim z całkowitą swobodą i nie miałem poczucia, on chyba też nie, że nasze poglądy czy oceny ludzi odbiegają od siebie. Połączyły nas też zainteresowania naukowe, o czym zaraz. Chwilowo zostanę jeszcze na gruncie prywatnym. Lech miał ogromne poczucie

humoru i czas z nim spędzony był na ogół świetną zabawą. Był okres, gdy dużo widywaliśmy się w czwórkę z Halinką i Grażyną. Później obowiązki rodzinne – dzieci – rozrzedziły te spotkania, ale pozostały one stałym składnikiem naszego życia do naszego wyjazdu do Francji i były nim ponownie podczas każdego naszego kolejnego pobytu w Warszawie aż do choroby Halinki, a później Lecha. Ale widywaliśmy się też wiele sam na sam lub w towarzystwie przyjaciół z Instytutu lub z zewnątrz: Basi Skarżanki, Juliusza Domańskiego, Marysi Ofierskiej... Kolegami Lecha na polonistyce, z którymi utrzymywał kontakty również po studiach, byli Michał Głowiński i Janusz Sławiński, ten zaś był moim starszym o klasę kolegą szkolnym, a Michał bardzo szybko stał się przyjacielem mojej żony i moim. Zapamiętałem kilka spotkań z Lechem w tym gronie. Były też spotkania w gronie instytutowym. Do rytuału należały w latach młodości spotkania przedwigilijne, często u Fukiera. Poza tym były zebrania i seminaria, ale nim do nich przejdę, muszę otworzyć nawias.

Pamięta się dziś głównie tzw. warszawską szkołę historii idei. W niczym nie pomniejszając jej zasług, trzeba przypomnieć, że badania prowadzone w ramach Instytutu przez historyków „filozofii i myśli społecznej” szły w trzech kierunkach. Wiek XIX i w mniejszym stopniu oświecenie przyciągały najliczniejsze chyba grono osób, które uczestniczyły w seminarium Bronisława Baczki obok Jana Głowicza, Henryka Hintza, Barbary Skargi, Anny Śladkowskiej-Hochfeldowej, Andrzeja Walickiego, niekiedy Leszka Kołakowskiego i pracowników Uniwersytetu: Adama Sikory i Jerzego Szackiego. Była wśród nich reprezentacja IBL: Maria Janion, Zofia Stefanowska, Alina Witkowska, Stefan Treugutt. Później doszli młodszy: Halina Floryńska-Lalewicz, Stanisław Borzym. Organem tego kręgu było „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej”.

Polską filozofię średniowieczną, przedtem niemal nieznaną, odkrywali, pod kierunkiem profesora Stefana Świeżawskiego: Juliusz Domański, Jerzy Bartłomiej Korolec, Zdzisław Kuksewicz, Ryszard Palacz, Władysław Serńko oraz dojeżdżający z Krakowa Mieczysław Markowski i Zofia Włodek; nie wszystkich pamiętam. Ich pismem były „Mediaevalia Philosophica Polonorum”.

Odrodzenie i reformacja wreszcie były w gestii Zbigniewa Ogonowskiego i Lecha Szczuckiego. Doszedł do nich za moich czasów Stanisław Piwko. Publikowali oni w „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej”, ale ich zawodowym organem był półrocznik, jeśli się nie mylę, „Odrodzenie i Reformacja w Polsce”.

Co do mnie, przychodziłem, acz nieregularnie, na seminaria Bronka Baczki, a po 1968 r., na seminarium Stefana Świeżawskiego. Ale moim właściwym kręgiem naukowym w Instytucie, po skończeniu przeze mnie studiów i rozpoczęciu pracy na UW, było trzyosobowe seminarium składające się ze Zbyszka Ogonowskiego, Lecha i Janusza Tazbira, który był jednym z Lecha najbliższych przyjaciół. Skupiało się ono wokół profesora Ludwika Chmaja (ur. 1888) do jego śmierci w 1959 r., ale trwało chyba do połowy lat sześćdziesiątych, jeśli nie dłużej. Wciągnął mnie do tego grona Lech z błogosławieństwem mojego promotora, Leszka Kołakowskiego, który wkrótce po tym, jak skończyłem studia, wyjechał na rok do Holandii i do Francji, a nie chciał mnie zostawić bez partnerów intelektualnych do dyskusji o myśli XVII w. Na szczęście Pierre Bayle, będący tematem mojej pracy doktorskiej, wchodził w zakres zainteresowań profesora Chmaja i jego seminarium. Janusz przygotowywał wtedy habilitację o Stanisławie Lubienieckim, przywódcy ariańskiej emigracji, Zbyszek – doktorat o zagadnieniach tolerancji w Polsce, a Lech – doktorat o Marcinie Czechowicu. Ponieważ bohater mojego doktoratu, Pierre Bayle, był hugenotą i badaczem między innymi dziejów reformacji, moje miejsce wśród nich było całkowicie uzasadnione. Zresztą, pod ich wpływem, a zwłaszcza Lecha, który był przez wszystkie te lata moim najważniejszym chyba partnerem intelektualnym i inspiratorem, zająłem się postawą Bayle’a wobec socynianizmu, co zaowocowało moją pierwszą poważną pracą, która ukazała się w „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej”. Jeszcze przedtem opublikowaliśmy z Lechem nasz jedyny wspólny tekst, dużą recenzję z książki Francesca Ruffiniego *Studi sui riformatori italiani*. A poza tym, jako jedyny z przeszłością dziennikarską i koneksjami w redakcjach, recenzowałem książki Janusza, Lecha i Zbyszka, i miałem swój udział jako tłumacz w przygotowanym przez Lecha zbiorze pism i dokumentów dotyczących Michała Serveta.

Nie znalazłem niestety pełnej listy publikacji Lecha i nie znam tematu jego pracy magisterskiej. Z jego wspomnień z lat studenckich zostały mi w pamięci dwa nazwiska profesorów: Zofii Szymdtowej i Juliana Krzyżanowskiego. Przypuszczam, że to Krzyżanowski zwrócił uwagę Lecha na literaturę i kulturę staropolską, do czego mógł być się też przyczynić starszy od Lecha Janusz Tazbir. Nie wiem, kiedy Lech zetknął się z Konradem Górskim, ale wiem, że go znał i cenił. Pewien jestem, że interesował się antytrynitarzami polskimi jeszcze przed powrotem profesora Chmaja z łagru i zesłania w 1955 r. I że już

wcześniej przeczytał prace Stanisława Kota, Marka Wajsbłuma, Konrada Górskiego i samego Chmaja oraz roczniki „Reformacji w Polsce” (1921–1939); lektury, które mu zawdzięczać. Muszę dodać, że był to w owych latach temat dobrze widziany, gdyż podważał obraz Polski jako kraju zawsze, całkowicie i bez reszty katolickiego. Co daje mi okazję do anegdoty.

Stefan Nowak, później jeden z najwybitniejszych polskich socjologów, nie mógł przed Październikiem uprawiać swojej dyscypliny, uznanej za „burżuazyjną pseudonaukę”. Zlecono mu zatem zajmowanie się „arianizmem”, jak wtedy zazwyczaj określano antytrynitarizm, w ramach przywracania „postępowych tradycji myśli polskiej”, co Stefana raczej nie bawiło. Ale robił, co mógł. Ponieważ znali się ze Zbyszkim Ogonowskim od dziecka, Stefan zaproponował mu, by napisali razem książkę o arianach. Jak to? – odpowiedział Zbyszek, znany weredyk – przecież ty nie masz o tym zielonego pojęcia. A Stefan na to: to nie ważne, ty dajesz fakty, ja daję metodologię i będzie bardzo dobra książka. Klimat ideologiczny zmienił się jednak tak szybko, że Stefan mógł wrócić do socjologii, a książka ich obu o arianach nigdy nie została napisana.

Było więc rzeczą naturalną, że gdy Chmaj zaczął pracować w Instytucie, Lech stał się jego nieformalnym asystentem, nad wyraz skutecznym i troskliwym. Opiekował się nim, pomagał w załatwianiu codziennych spraw, co sprawiało trudność ciężko schorowanemu po łgrze profesorowi. I był duszą seminarium prowadzonego, póki Chmaj żył, przeważnie w jego mieszkaniu; z rzadka w instytutowym pokoju Katedry Filozofii Nowożytnej, wtedy w Pałacu Kultury. Z tego seminarium został mi w pamięci seans z referatem Janusza Tazbira o jednej z dziwnych postaci czasu wojen religijnych, inny – w Pałacu Kultury – z referatem Anki Śladkowskiej-Hochfeldowej o Humie, który okazał się dla mnie bardzo ważny, gdyż skłonił mnie do pogłębionej pracy nad jego filozofią, i jeszcze inny, samego Lecha, z zabawnym epizodem spowodowanym głuchotą Chmaja, który nie chciał się do niej przyznać. Lech mówił już jakieś pół godziny, gdy Chmaj oświadczył nagle: dlaczego wszyscy milczycie, a Szczucki nic nie mówi. Janusz wystąpił w obronie Lecha, ale Chmaj był kategoryczny: Nic nie słyszałem, więc Szczucki nic nie mówił. Skończyło się na tym, że Janusz powtórzył własnymi słowami referat Lecha i wszystko wróciło do normy. Chmaj bardzo Lecha cenił i lubił, więc epizod z referatem został natychmiast zapomniany.

W moim życiu Lech wielokrotnie odegrał ważną rolę, za którą pozostaję mu dożgonnie wdzięczny. Podsunął mi istotne lektury, zwłaszcza włoskie. Powiedział o mnie Tullio Gregory'emu, co spowodowało zaproszenie mnie do Rzymu. Zapoznał z Paolą Zambelli, co zaowocowało trwałą przyjaźnią. Najważniejsza była jednak jego interwencja po wyrzuceniu Leszka Kołakowskiego i mnie z PZPR. Bronek Baczek zorganizował wtedy naradę, która miała mnie skłonić do jak najszybszego napisania habilitacji, gdyż uważał – i nie tylko on – że uratuje mnie to przed wyrzuceniem z Uniwersytetu. Było to przejawem wzruszającej naiwności nas wszystkich, ale miało bardzo dobre skutki. W naradzie wzięli udział Leszek Kołakowski i Lech, a chodziło o to, by znaleźć w moim niepublikowanym dorobku coś, z czego by się dało w ciągu kilku miesięcy zrobić rozprawę habilitacyjną. I podczas gdy odrzucano moje propozycje jako nierealne, Lech, który był moim powiernikiem i świetnie wiedział, co robię, poinformował dwóch pozostałych panów, że mam napisaną dużą część książki o myśli historycznej średniowiecza i że wystarczy ją doprowadzić do końca. Było to dla nich zaskoczeniem, bo starannie to ukrywałem, a pracę habilitacyjną chciałem pisać na inny temat. I nie wzbudziło entuzjazmu, bo byliśmy nowożytnikami, a nie mediewistami, a te podziały mają znaczenie. Ale nie było wyboru, więc zlecono mi, bym tę książkę czym prędzej skończył i przedstawił jako rozprawę habilitacyjną. Wymagało to kilku miesięcy obłąkańczej pracy, w toku których praktycznie byłem w domu nieobecny, a po nocach śniły mi się tomy patrologii i *Summy teologicznej*, ale zdążyłem przed dzwonkiem. *Przeszłość jako przedmiot wiary* ukazała się kilka tygodni przed Marcem 1968 r. i nakład zdążył się rozejść nim przyszło polecenie wycofania jej z księgarń. Tak więc zawdzięczam Lechowi i tę książkę, którą inaczej bym jeszcze ciągnął nie wiedzieć jak długo, i habilitację, której inaczej bym chyba wtedy nie zrobił.